

MASKA POŚMIERTNA

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Wyrok Pośmiertny

Poblądła noc doczesna. Widzę was
naprzestrzał
Jak małość wam obłazi czaszkę robaczywą,
Bledną pola bitewne, gdzie z konia
obwieszczał
Wolność i dumę waszą, i powiewał grzywą,
Płaski mrok chce mnie urzec, mrok co
oblaskawi
Pioruny przeznaczone, by zło tropić na dnie.
Żołnierze! Widzę trud wasz pobici i krwawi,
Widzę kto zdradzi pierwszy, ostatni kto
padnie,

Daję wam, co się we mnie do bólu natęży
I co zostanie potem dla was do zdobycia:
Moje góry ogniste, gdzie błyskał z oręża
I rozcinał nim przyszłość. Góry mego życia.

Siałem wiatry śmiertelne. Jestem czoło burzy.
Lecę na niej, świat niosę i żyję bezdomnie.
Mój mit kurzawę wzbija. Gromem się
powtórzę —
Biada, jeżeli pustym! Pustym dźwiękiem —
po mnie.

Nie dam wtedy pardonu. Kto ostał, niech
ginie.
Jak zbójcę ześle na was wyrok po wyroku,
Napadnie was złoćwicy i w ciemne jaskinie
Strąci, przeklnie i zniszczy. Uduście się w
mroku.

Jeśli to będzie szatan — będzie sprawiedliwy,
Jeśli anioł — miecz włożę do ręki cheruba.
Konie moje, zarżycie! Wysoki i mściwy,
Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd
zguba.

o ich życiu dzisiejszym. Obchodząc będą puścić w obieg różne tendencyjne pogłoski. Prawdopodobnie będą czynione próby przedstawienia go jako manifestacji o celach ukrytych. Znamy te głosy: są mali ludzie, którzy nigdy nie są w stanie zrozumieć uczuć prawdziwych. Oto czemu, zaraz na wstępie, starałem się określić cel i charakter naszej akademii na tle czasów, które przeżywamy. Przedewszystkiem zaś poprostu kochaliśmy Komendanta, Kochamy go i Kochać będziemy, a miłości tej z serc naszych nikt wydrzeć nie zdoła.

Nie umiem myśleć o Piłsudskim, nie wiążąc jego imienia z nieugiętą walką, jaką toczy obecnie naród polski. Imię to stało się oddawna symbolem, oporu wobec najeźdźcy, walki o wolność, całość i honor Polski. Wiem z całą pewnością, że tak jest obecnie w umęczonym kraju, gdzie Piłsudski, choć umarł sprawuje nadal dowództwo w znaczeniu moralnym, gdzie prawie każdy, kto walczy i śmierci samotnie w oczy zagłada, z pamięci o nim czerpie siłę wytrwania i moc duchową.

Wiem, że wszędzie, gdzie lotnik polski siałę gromadzi, gdzie marynarz polski oceanu przemierza, gdzie żołnierz polski bój toczy, lub gdzie stoi w pogotowiu — imię Piłsudskie go stało się kodeksem wiary tułaczkiej sił zbrojnych, podporą moralną w chwilach zwątpienia, hasłem zbiórki dla rozproszonych, osamotnionych i poszukujących punktu oparcia. Wiem, że na obczyźnie wszędzie, gdzie rozbrzmiewa mowa polska, imię Piłsudskiego wymawiane jest z uczuciem nieustannie wzrastającym. Usiłowano wyrwać go z serc Polaków — i on pozostał tam, bardziej niż kiedykolwiek kochany i czczony. Usiłowano wymazać go z pamięci naszej — i oto trwa wśród nas, coraz bliższy duchowo, rzec można, jeszcze bardziej niż za życia żywy. Uczczono zapomnienia, łepiono sentyment żołnierski, siano sze roko niechęć i zwątpienie — a wyrósł plon miłości i wiary bujniejszy i powszechniejszy niżli kiedykolwiek.

Naród nasz zrozumiał wielką prawdę życia Piłsudskiego, że jego miłość ojczyzny była najszlachetniejszej miary — czysta, bezgraniczna, bezinteresowna. Pragnął on dla Polski wielkości prawdziwej, a na czoło wszystkich zasad, które ku wielkości prowadzą, wyniósł poczucie godności narodowej, majestat obowiązku i wiernej służby dla kraju, pogardę dla przywileju i korzyści osobistych, a przede wszystkim wiarę we własne siły narodu. Romantyk i idealista w myśleniu, a jednocześnie twórca i praktyczny realizator, kochał Polskę nie jako poetycką wizję, czy mistyczną abstrakcję, lecz jako twór żywy, utkany z kości i krwi, nie wolny od ciężkich wad i błędów, prowadzących w przeszłości do upadku, lecz jednocześnie pełen najwznioślejszych zalet, dzięki którym Rzeczpospolita zdobyła sobie wielkie imię w świecie i wreszcie powróci-

serdecznych Polaków przyjaźni Polski ze światem demokratycznym Europy i Ameryki i apeluje do wydatnej i skutecznej pomocy sprzymierzeńców, pragnących ułożenia stosunków w myśl zasad spądawliwości i słuszności.

Jakże jasno z zestawień powyższych ustępów wynika, że Piłsudski widział Polskę wśród wolnych narodów, dźwigającą swe życie własnym ciężkim trudem. Widział ją jako krzepkie drzewo, samodzielnie czerpiące soki z rodzinnego gruntu, nie jako słaby powój owijający się dookoła obcego pnia. Nie odrzucając pomocy prawdziwych i szczerých przyjaciół — upatrywał podstawy niepodległości w powszechnym, zgodnym i samodzielnym wysiłku całego narodu. Pragnął, by wiara Polaków w siebie samych powstała przez ich własną pracę, a nie przez zabiegi u obcych, choćby nawet przyjaciół, nie przez „konjunktury, orjentacje” i mniej lub więcej tajne wpływy. Mówiąc o sąsiadach Polski, ofiarowywał im pożyacie sąsiedzkie w pokoju i zgodzie, lecz ostrzegał, że „pozwolić nie możemy, by pod jakimkolwiek pozorem, choćby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia.” Wołał: „Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo”.

Zaprawdę dzisiaj, na wielkim i dramatycznym zakręcie dziejów powinniśmy nieustannie powtarzać sobie te wiecznie żywe słowa, które są apelem do sumień i busołą w ciemnościach. Najważniejszym przeciwieństwem i głównym obecnie zadaniem Polaków na obczyźnie jest takie dopilnowanie sprawy polskiej na terenie międzynarodowym, by Ojczyzna nasza wyszła z burzy wojennej naprawdę niepodległa i pomnożona, a nie pomniejszona. I dziś odwoływać się musimy do zasad świata demokratycznego — zasad sprawiedliwości i słuszności. Stanęliśmy przeciwieństwem w pierwszym szeregu nieubłaganej walki z niemieckim barbarzyństwem. Rzuciliśmy przeciwieństwem na szalę zmagania cały nasz los i cały nasz byt, zyskując dla sprzymierzonych i dla ich przygotowań wojennych osiem miesięcy bezcennego czasu. W świetle wypadków późniejszych mimowoli ciśnię się na usta pytanie, czy się stać mogło, gdyby potęga niemiecka we wrześniu 1939 roku całą swą siłą zwróciła się na zachód — wystawiając od strony Polski jedynie przestonę.

Sprawa nasza czysta jak iza. Nasz naród nie wydał żadnego Quislinga, wojsko polskie walczy dalej, zapewniając ciągłość wysiłku zbrojnego Polaków. Naszą troską jedyną jest, by szczęk oręża polskiego rozlegał się na świecie do końca wojny. Kraj trwa w nieugiętym i bohaterkim oporze, ponosząc niewymowne ofiary. Nasz wkład do sprawy sprzymierzonych pomnaża się, wzrasta nieustannie.

I dla tych i dla wielu innych jeszcze względów wierzymy głęboko, że nasze prawa sojusznicze będą uszanowane, że w myśl zasad słu-

— naruszeniem zdrowej równowagi naczelnych władz, źródłem rozterek wewnętrznych i jedną z przyczyn późniejszego dramatu.

Obecnie obowiązująca konstytucja wyciągnęła wnioski z doświadczeń przeszłości. Jest ona ostatnim wielkim dziełem Piłsudskiego. Będąc dokumentem państwowym, na którym tuż przed śmiercią położył drżącą ręką ostatni swój podpis, konstytucja kwietniowa stanowi w oczach piłsudczyków jak gdyby testament zgasłego Marszałka. Dochodzą do nas różne głosy o jej zaletach i wadach, ale pewne jest, że może być ona zmieniona jedynie w kraju, przez reprezentację całego narodu, powołaną z wyborów wolnych i demokratycznych. Nienaruszalności obowiązującej konstytucji zawdzięczamy podczas obecnej wojny zachowanie legalnej ciągłości władz państwowych, oraz rząd prawowity, uznany przez kraj i wszystkich Polaków na obczyźnie, nieprzerwaną współpracę z sojusznikami oraz możliwość dyplomatycznej obrony interesów Rzeczypospolitej w jej najwyższej potrzebie.

Koledzy, towarzysze broni! Polskę los nie po raz pierwszy stawia w położeniu niezmiernie trudnym, tak trudnym, że stanowisko nasze wydać się może niezrozumiałym dla innych, szczęśliwszych narodów. My wiemy jednakże, że przed nami leży droga prosta i jedyna, a jest nią obrona całości, wolności i honoru Ojczyzny. Spełnijmy swój obowiązek do końca w nieubłaganej wojnie z niemieckim wrogiem, mordercą naszych najbliższych — łupieżcą naszej kultury narodowej. Ale nikt od nas wymagać nie może, byśmy niezaprzeczone prawa nasze poświęcić mieli dla cudzych interesów, czy też cudzej racji stanu. My, Polacy, drogę naszą wybraliśmy od dawna, a wkroczyliśmy na nią bez wahania 1 września, 1939 roku, z pełną wiarą w ideały demokracji, ufając bez zastrzeżeń słowu wielkiego i rycerskiego narodu, twórcy i wyznawcy szlachetnej zasady „fair play”.

Wśród nieszczeń i ciężkich doświadczeń potrzebny się staje zbiorowy rachunek sumienia. Wyznajemy odważnie wobec samych siebie, że mamy liczne przywary i błędy. Zgasły Marszałek niejednokrotnie mówił do mnie, że najpowszechniejszą wadą narodową Polaków jest samolubstwo, swarliwość i łatwość oskarżeń wzajemnych, że stąd właśnie płyną wszelkie nasze trudności w pracy zespołowej, bez której nie można zbudować silnego państwa. Oddawna, jeszcze przed odzyskaniem niepodległości za najniebezpieczniejszą przywarę u Polaków czynnych politycznie uważał słabość charakteru i niewiarę w samodzielne możliwości narodu, pobudzając do poszukiwania t. zw. ongiś „rozwiązań orjentacyjnych”.

Dzisiaj, gdy okręt Rzeczypospolitej z...
(Ciąg dalszy na str. 10-ej)

WSPOMNIENIA O GRZYBOWIE

W dniu 10 listopada r. 1929 odbył się w Warszawie wielki obchód, poświęcony uczczeniu 25-ej rocznicy krwawej demonstracji warszawskiej na Placu Grzybowym, słusznie uważanej za pierwszy po powstaniu styczniowym krok w kierunku wszczęcia walki zbrojnej o niepodległość Narodu. W związku z tą uroczystością Marszałek Piłsudski ogłosił w prasie następujące wspomnienie:

Jakżeż to daleko Grzybów. Wydaje mi się niekiedy, gdy swoje wspomnienia odgrzebuje, że jest gdzieś daleko, w jakimś kącie, co najmniej Australji, że nie jest to wcale znany w Warszawie Plac Grzybowski z kościołem, plac, po którym ludzie spokojnie chodzą, dzieci biegają, ale że jest to jakiś plac z bajki życia, które tak gwałtownie i szybko się zmieniło, że chyba i kościół i bruki i ludzie conajmniej do innej części świata należały.

Grzybów należy do moich wspomnień, chociażby dlatego, że w wypadkach, które na tym placu się zdarzyły 25 lat temu, magna pars fui. Prawda, że w wielu wypadkach byłem tą wielką i największą częścią. Prawda, że niejedną z tych wypadków błyskawicą ogromnej jest miary i przerasta wypadki grzybowskie historyczną swoją prawdą tak bezmiernie, że biedny, mały Grzybów ginie w ich cieniu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że Grzybów należy mi do wspomnień, które nieraz pieszczą, należy do pieszczoty mego życia. Prawdą też jest, że i ja, obecny Marszałek Polski, były Naczelnik Państwa z nazwiskiem, znanym po całym świecie, nie byłem takim rozgłośnym, jakim jestem obecnie. Nie chcę nawet powiedzieć, że ta rozgłośność od Grzybowa się zaczyna, lecz są w Grzybowie i w grzybowkich wypadkach momenty, które dotyczą najgłębiej istoty mojej, które czynią mnie nieco sentymentalnym i tak jakby pieszczonym przez wspomnienia i zarówno wspomnienia pieszczącym.

Jeśli wezmę wymiar historyczny, to grzybowska manifestacja jest jednym z niezliczonych epizodów wielkiego zdarzenia historycznej, dziejowej miary, jakim była wojna Rosji z Japonją. Wojnę tę wielkie potężne mocarstwo rosyjskie przegrało z małą w stosunku do niego, nieznaczną wówczas w świecie odgrywającą rolę — Japonją.

Grzybów i grzybowska manifestacja wyraża tylko wtedy, gdy się zatrzymamy ściśle na Polsce, gdyż był to pierwszy, bardzo nieznaczący, przejaw, lecz w każdym razie przejaw walki zbrojnej przeciwko zaborcy rosyjskiemu.

Gdy wojna Japonją wybuchła w lutym 1904 roku...

w tej dalekiej i obcej dla nas zupełnie wojnie.

Jakież więc było moje przerażenie i zdziwienie, gdy po wszystkich zmudnych pracach nastawienia aparatu przyjechałem do Rygi, do naszej drukarni, i z przerażeniem się dowiedziałem, że ówczesny redaktor „Robotnika”, zresztą mój przyjaciel, Felek Perl, napisał już i puścił na druk inną odezwę, w której, jak ja się śmiałem, stwierdził, że gdy dwie burżuazje się biją, to proletariatu nie po temu. Zbesztalem Felka, tak, jak może rzadko człowieka besztalem. Pierwszy bowiem mój krok najzupełniej zawiódł. Naprawić szkody już nie mogłem, gdyż wybrałem inną metodę t. zn. zmusić do drukowania mojej odezwy nie było sposobu. Wszystkie bowiem terminy już nastawione pękłyby i trzeba byłoby puścić w ruch nowe, bardzo skomplikowane, poruszenia, przejazdy i nastawienia, również skomplikowane prace drukarni, związane z papierem, farbą i innymi drobiazgi, coby wszystko zajęło mnóstwo czasu. Postawiliby to pod wielkim znakiem zapytania moje osobiste plany rozjazdów, które już sobie ułożyłem i mnóstwo ludzi pouprzedzałem. A wszystko przecie w owe czasy odbywało się tak konspiracyjnie, bez żadnych depesz i telefonów, że terażniejsi ludzie wyobrażenia nawet nie mają — i dlatego na początek odsyłam ich aż do Australji lub do Buszmenów — o tych olbrzymich trudnościach, jakie musiano mieć przy zebraniu się nawet trzech ludzi razem.

Z tego małego faktu pierwszego mego zawodu podczas wojny rosyjsko-japońskiej, wnosić łatwo można, jaki olbrzymi przeskok uczynić trzeba było do manifestacji zbrojnej na placu Grzybowym w listopadzie. Wiedziałem, dobrze, że wojna zaczyna się od mobilizacji. Udałem się więc do Petersburga, żeby sobie skontrolować, w jakim stopniu i gdzie zaczyna mobilizacja Polskę. Nawet przez niewielkie stosunki, jakie posiadałem, zdobyłem wiadomość główną, że wobec stanu kolei syberyjskiej, która nie dopuszczała do szybkiego przewozu wojsk, o jednoczesnej i wielkiej mobilizacji niema mowy i że w każdym razie mobilizacja w pierwszym rzędzie odbywać się będzie na samej Syberji i w niektórych tylko częściach Moskiewskiego i Kazańskiego okręgu wojskowego. Zrobiło mi się znacznie lżej. Miałem więc jeszcze dużo czasu.

Nie chcę się zatrzymywać na tych długich miesiącach, które leniwie i powoli biegły ku listopadowi. Wobec tego, że wbrew konspiracyjnie zaangażowałem otwarcie swoje nazwisko

w najrozmaitszych rozmowach, które toczyłem z ludźmi, najzupełniej do konspiracji nie przyzwyczajonych, a miejscach, w Petersburgie i Warszawie, dezerżesał moje fotografie na wszystkie granice i do wszystkich zarządów żandarmerji z ko motyw, dano, że przygotuję powstanie polskie. Coprawda, że byłem w owe czasy go roku, którą z różnymi źródłami studiowałem i nieraz w tych rozmowach, które prowadziłem, wskazywałem na moment niebezpieczny dla stanu umysłów i wskazywałem na rolę jej skutki. Zmusiło mnie to do większej ostrożności, niż zwykle i do pokazania siebie pewnym przeciagom czeń, muszą dojść do agentura wreszcie uspokoi. Tam właśnie mnie wiadomość, że ta mobilizacja. Nie tem, byśmy mogli tak, jak ojcowie nasi, ku, byliśmy na to zupełnie nieumiejętni i zanadto ni. O tem zaś, by kto się odważyć choć na być nie mogło zgóry.

Pomimo woli przyjdzie śladami dawnej Rosji i Wielopolskie go i zaangażuje się w mobilizacji najbardziej żywego materiału ludzkiego, w mobilizację ludności miejskiej.

Dla mojej głównej bardzo na rękę. Wezwał przedewszystkiem głównego menera warszawskich organizacji już obecnie, milego przyjaciela. Nim przyjechał, stwierdziłem już spotkał mnie zawód. która powiaty w kaliskiem, akurat w tym my, jako organizacja wpływów, ani znajomości, nawet odezwoj. Nie pamiętam już, i mocy spędziłem bezsenno, chodząc po pokoju za drugim i pijący ty. Myślałem ciągle, że się może w jakiś sposób można wobec tego protestu i wyraz naszego stanowiska. Natomiast mimo wielkiej niechęci, że się będzie umierał i wbrew swoim uczuciom, rezerwiści stawiają się tak, jak im

państwo nakazuje. Tak, jak jakieś bydlę na rzeź prowadzone, mają Maćki i Bartki leżeć do wagonu i jechać na kraj świata, umierać, chorować, cierpieć i dawać z ciała i życia swego ofiarę na rzecz mocy swego wroga. I wszystko tak bez protestu i wszystko nie mówiąc ani słowa, i wszystko nie stawiając żadnych przeszkód aktowi przemocy. Nie mogłem prawie żyć z rozpaczy.

Wreszcie przyjechał Kwiatek. Przy pierwszej rozmowie z nim stwierdziłem odrazu, że przy decyzji zrobienia jakiejś manifestacji głośniejszej nie znajdę wielkich przeszkód, chyba w samej technice wykonania. Kwiatek upierał się przytem, aby Warszawa wzięła na siebie pracę manifestacji, gdyż ta największej daje rozgłosu i może dać najwięcej efektu realnego na późniejszy rozwój wypadków. Moje uwagi szły w kierunku obliczenia i możliwych skutków dla najbliższej naszej organizacji warszawskiej, gdy tak łatwo można było rozbić centrum naszej pracy, wydatkując odrazu wszystko co mamy. Twierdziłem, że możnaby myśleć i o innej metodzie, gdyby manifestację rozlać szerzej po kraju, zmniejszając ich jaskrawość i ich — że tak powiem — ostrość. Kwiatek zaś sądził, że wtedy zaniknąć może siła impresji i cała praca może spalić na panewce, gdy to nie będzie dostatecznie powszechne. Specjalnie zaś nas obu zniechęcała myśl, że właśnie tam, gdzie mobilizacja się odbędzie, nie znajdziemy żadnego oddźwięku. Stało więc w ten sposób, że wystąpi Warszawa i że może się uda dodać w najgorętszych i najlepiej zorganizowanych punktach jakby dodatki mniej ostre. Przyjęta też została forma manifestacji zbrojnej.

Co do mnie, radziłem zbrojność zmniejszyć pod względem ilości uzbrojenia, gdyż wskazywałem, że nie mamy dostatecznego o-

bycia z bronią i możemy narazić się na śmiešność, za którą krwawo zapłacimy. Radziłem więc mieć uzbrojony tylko ściśle określony oddziałek, z ludzi zimnej krwi złożony, aby uniknąć tak smutnego skutku. Mówiłem, że sam bym z ochotą pojechał, by technicznie przeprowadzić tę pracę, lecz obawiam się, że za dużo będę musiał stracić czasu na poznanie ludzi, którzy by tę czy inną pracę musieli wziąć na siebie. Kwiatek brał wszystko na siebie i prosił mnie, abym w ten sposób nie ryzykował i nie narażał swej osoby. Na siebie więc brałem zakup broni i przemycanie jej do Warszawy.

Pierwszy raz w owe czasy zetknąłem się z tem zajęciem. Jeżeli byłem specjalistą do łamania granic, to znowu z bronią palną ani w zakupie, ani w sposobie jej przemycania nigdy nie miałem do czynienia. Sprawilo mi to dużo kłopotu. Większość broni była zakupiona w Katowicach i Bytomiu.

Przebiegu samej manifestacji nie opisuję, jako że nie brałem w niej bezpośredniego udziału. Słyszałem tylko opisy różnych uczestników tej manifestacji i opowiadania o niej różnych panów i pań z Warszawy. Wywód mój, który sobie zaraz uczyniłem, był bardzo przykry i smutny dla mnie. Nie mogłem się bowiem powstrzymać od technicznej oceny pracy, która o ile była dowcipna, o tyle też z trudem mogła nastraszyć kogokolwiek z tych, których zamierzaliśmy straszyć. Lecz że dała efekt bardzo duży i że wpłynęła na zmniejszenie do minimum zakresu mobilizacji w Polsce, więc uczestnicy tej manifestacji poszczycić się istotnie mogą, że wpłynęli na losy Polski w sposób znaczny, znaczniejszy niż przypuszczali. Z powodu tej manifestacji skonstruowałem sobie aforyzm, że dowcip w historii często więcej znaczy niż siła.

PIŁSUDSKI

(Dokończenie ze str. 9-ej)

stał rzucony w sam środek cyklonu — a zabrakło Piłsudskiego, oraz wielu wybitnych postaci z jego pokolenia — bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy prawdziwej zgody i jedności. W obronie słusznych praw Polski muszą stanąć murem wszyscy uczeni Polacy bez względu na pochodzenie, wyznanie i przekonania polityczne. Odrzuciwszy kompleksy, uprzedzenia i sztuczne podziały, za którymi kryć się mogą wpływy nieznanne, pragnące dla swoich ukrytych celów jeszcze podczas

Polski przebijają z każdego zdania, idealizm społeczny, poczucie tradycji i godności narodowej — wszystko to zrobiło na mnie wrażenie porywające i na zawsze do niego przykuło. Sekundował mi wybitny działacz: mądry Witold Jodko, Ksawery Prausa o twarzy ze starego portretu, Feliks Perl, patryjota, rozmiłowany w poezji Słowackiego, nieustannie przepłatający poetyckimi cytatami swoje piękne mowy i Gustaw Daniłowski, poeta i pisarz znakomity, lecz mówca nieśmiały; Hermand Diamant, ówczesny działacz

wagę wystąpienia. Mówię tu o ówczesnej, t. P. S. Dla charakterystyki ówczesnego stanu umysłów przytoczę tu wspomnienia własne z samego początku wojny t. zn. z lutego 1904 roku.

Wiadomość o wybuchu wojny zastała mnie w Siedlcach, gdzie przyjechałem dla rozmówienia się z pewnym młodym lekarzem, który się zgodził urządzić mieszkanie dla podręcznej tajnej drukarni, gdy centrala znajdowała się daleko w Rydze, albowiem odczuwała się gwałtowna potrzeba drukowania odezw i ulotek bliżej centrum ruchu. Miałem się tam zjechać u tego pana z głównym w owe czasy technikiem rozwożenia druków, obecnym generałem Rozenem, który niedawno wyszedł z wojska rosyjskiego i stanął do mojej dyspozycji dla pracy t. zw. w owe czasy „technicznej”. Gdym tam o wojnie i manifestie cara się dowiedział, dowiedziałem się zarazem, że cały plan siedlecki przewraca się do góry nogami, gdyż nasz, mój i Rozena, gospodarz został zmobilizowany, jako młody lekarz i już nazajutrz miał się stawić do poboru. Miał być wysłany do Mandżurji. A że miał u siebie skład nielegalnych wydawnictw, zażądał od Rozena, aby można było jak najszybciej mieszkanie oswobodzić. Pamiętam, śmiałem się z siebie, że wojna, którą w duchu błogosławić zacząłem, zmusza mnie od razu do tak licznych i małych czynności i daje małą ilustrację tej olbrzymiej przewagi sił, z którą my, Polacy, i my, partja P. P. S. mamy do czynienia. Natychmiast też się zająłem skonstruowaniem chociaż jakiego takiego planu, który dał możliwość jakiegokolwiek bądź reakcji na wypadek tak wielkiej miary, jak wejście w stan wojny państwa zaborczego. Wiedziałem bowiem dobrze, że setki i tysiące ludzi czekać gorączkowo musi, nieraz w męce, na to, jakie my stanowisko zajmiemy w stosunku do wypadków, męczyc się musi tą bezmocą i bezsilną, gdy może i my, jako poddani Rosji, zmuszeni będziemy do oddania krwi i życia na rzecz swego wroga.

Rozumiałem, że zrobić dużo nie jesteśmy w stanie, rozumiałem dobrze, że znikomo mali jesteśmy wobec ogromu wysiłków, do których zmusza wojna każde państwo. W dodatku zaś Rozen grubym basem tłumaczył znaczenie mobilizacji i jej aktów przerażonemu gospodarzowi, któremu mobilizacja życie rujnowała. W każdym razie pozostawał i musiał istnieć najprostsz, najzwyczajniejszy dla nas sposób reakcji, t. z. odezwa. Siadłem więc i pisałem swoją odezwę, zapowiedziawszy Rozenowi, że wprost stąd pojedzie do Rygi, by oddać odezwę do druku, ja zaś zaraz się zajmę ułożeniem bardzo skomplikowanej pracy, związanej z przygotowaniem aparatu odbiorczego w całym kraju dla odezwy która ma być wydrukowana. Tą odezwą chciałem przygotować chociażby trochę nastroju dla przyszej pracy, która musiała nabrać charakteru bardziej realnego i zbliżającego do otwartego protestu przeciwko udziałowi Polaków

TRUMNA

Trumno, trumno wysoka! Jakże wiesz
Ile ruin w mrok twego zapadło się wieka?
W nieruchomej szkatule, cichej i niedużej,
Chcesz zamknąć bożą chmurę? Ty myślisz —
człowieka!

On wyszedł z parnej ziemi, jak obłok z nad
wody,
I nłócił się ponad krajem, jak chmura
ognista.

— Dokąd odpływasz teraz, do jakiej pogody,
W jakie niebo się śpieszysz roztopić do
czysta?
Nie będziesz siał już wiatrów i burz nie chcesz
zbierać

I coraz wyżej pniesz się pod strop
firmamentu —
Coś uparł się jak człowiek — tak nagle
umierać
I sknieniem odtracił cały świat zamętu.

Coś nam sobą przeludnił porzuconą ziemię,
Odbiła na żrenicy zamkniętego oka...
— Jak pomieścisz tę chmurę, gdzie znużony
drzemie

On, bezlitosny Święty, — ty trumno wysoka!

NOCNY POCHÓD

Nasamprzód szła piechota, bił werbel
kościasty,
Do ust podnieśli trąby, lecz fanfar nie było.
Księżyc stanął i patrzył: w pochodniach
asysty
Pogrzeb przykrył się nocą, jak bratnią
mogilą.

Potem szło konne wojsko, dzwoniły kopyta,
I drugi werbel podniósł się z ziemi odgłosem,
Dudnił grób i szumiła mogiła zakryta:
To naród stapał ciężko, szedł za swoim losem.

I tylko tyle pochód ten milczący gadał
O tym, co włożył pałki do ręki doboszom,
Co konie wyprowadził i wojsko układał
I dziś je wiódł śmiertelnym powierzony
noszom.

Bębniła śmierć kościasta, werbel jeszcze
warczy,

Na armacie ostatnie usłano mu łożo.
— Czy ty w trumnie odjeżdżasz, czy ległeś
na tarczy?

I płakali żołnierze, I szeptali: Boże!

OSTATNIA DROGA

Aż nadszedł dzień,
Więc wzięli je, pon
Śród szabel i śród he
Drogą, przy której m

Przeszły pułki, chora
Wzdłuż śmierci szły
I pchał się marsz po

A działa były w serce
Aż drgnął i ruszył w
Zarastał się, zabliznał

I tę włosnę zarzucił
I zostaliśmy sami na
A on toczył się w ś
I ziemi się przyglądał

Ziemia wyszła na pr
Czekała aż ją rozpac
Wtedy, na ścianie n
Zaświatową tu jego
Kulą ognia trafiony
I w naród namacalna

WAWEL

Budzą się w krypcie
Kto ich spokój nar
Skąd podnosi się ha
W całym zamku dr

Ogłoszona dzwona
Truchla ciężko d

I patrzą z oczodo

— Poznali go, pozn
Niech tu wejdzie, w

Nie, by królom by

Te losy, które nosi
By Polskę równa

Niech wejdzie. Nie,

Lecz aby w głąb za

I królował gdzie n

Wolność wiązał z w

dy oddać trzeba nawet
zwłoki, —
śli na plac, gdzie
dowodził,
zmów, w tej trumnie
wysokiej,
leszkał i którądy
chodził.

gdzie do ziemi schylały,
okrutną parą zastępy
trobny z nicości do
chwały,
i darły je w strzępy.

olno. Gaś w oczach nam
długo,
zi, zacierał w
przestrzeni,
plamistą szarugą
mrok potłuczeni.

wiatłach, z ogniami przy
boku,
jak przedtem swej
armji.

zeciw, stanęła w natłoku,
z do syta nakarmi.
ocy, dłoń śmiercią
złamana
wpisała obecność:
padł kraj na kolana
zwaliała się wieczność.

prochy, królowie uspieni:
usza, kto w ciemność tę
wkracza,
as w podziemnej tej sieni,
mury i dzwon jak
rozpacza!

i zbudziła ich wieża,
gnęli, w sarkofag się
wparli

w: prosto ku nim
zmierza...
all wodzowie umarli!

kamienie wyroków,
i spocznie,
równy, lecz aby

przedłużył
był sam podobocznie:
w wieczność. Po śmierci
by służył.

by stanął na szczyt
wywyższony,
adał, zapelniał tam

przepaść
wet nie sięgły korony —
płnością. By nigdy już nie
paść.

ani faszyzmu, ani sympatji, promienleckich,
a jest natomiast niezmierna ilość braterskich
mogil, kryjących zwłoki ofiar najazdu
i przemocy, bojowników o wolność, o interes
narodowy, o własną rację stanu. Niechże
więc obcy, a nieproszeni nauczyciele nie pou-
czają nas, gdzie leży nasze szczęście i nasza
przyszłość, gdyż nasze maszerować ku niej może-
my tylko z tymi, którzy wyznają prawdziwą
wolność i niepodległość narodów.

Mówiąc o Piłsudskim, nie potrafiłbym w
najkrótszym nawet przemówieniu nie poświę-
cić cię słów kilku serdecznym stosunkom, jakie
łączyły Komendanta z młodzieżą polską. Gdy
go poznałem, był już człowiekiem dojrzałym,
ale otaczał się najchętniej zupełnie młodymi
ludźmi i — rzecz uderzająca — nie obawiał
się poruczać im zadań wysoce samodzielnych.
Mówił wtedy zazwyczaj, że puszcza ich na
głębką wodę, a jeśli zdołają dopłynąć do
brzegu, staną się jego dzielnymi, doświad-
czonymi współpracownikami. Piłsudski wierzył
w idealizm młodzieży i w czystą bezin-
teresowność jej stosunku do Polski — a ce-
chy te uważał zawsze za decydujące, zwi-
szcza w chwilach ważnych i przełomowych.
Uczył młodzież, że trudności i przeszkody
istnieją po to, aby cofać się przed nimi. „Chł-
pcze, jeśli ci będą mówili, że głową muru nie
przebijesz, nie wierz temu i wiedz, że to nie-
prawda”.

Patrzyłem nieraz, jak Komendant w mło-
dzieży, która się z nim choćby przelotnie zet-
knęła, budził od razu uczucie bliskości i głą-
bokie zaufanie, będące przecież podstawą
trwałości i szczerości wszystkich ludzkich
stosunków. Młodzież sercem płaciła za ser-
ce i garnęła się do niego instynktownie, on
zaś nigdy nie stosował metod wyodrębniania
jej w organizacje osobne. Wiem, że obecna
młodzież szanuje pamięć Piłsudskiego za
wszystko co uczynił dla Polski, oraz pamię-
ta, że on właśnie w naszym życiu narodowym
był najdoskonalszym wyrazem owych podsta-
wowych wartości duchowych, których zespół
nazywamy „charakterem”. Młodzież uczci
najlepiej pamięć zmarłego Marszałka, hartu-
jąc swój charakter nie tylko wśród ciągłej
walki z wrogiem, nie tylko w zmaganiu się z
przeciwnościami życia, ale przedewszystkiem
w upartej walce z własną słabością.

Na zakończenie pragnę przytoczyć dwa
wspomnienia związane z osobą Komendanta.
Spotkałem Piłsudskiego po raz pierwszy w
życiu na zjeździe PPS we Lwowie, w pierw-
szych miesiącach 1906 roku, podczas rewolu-
cji, wstrząsającej wówczas państwem carów.
Sprawą, która wypełniła wielce ożywione de-
baty zjazdowe, było pytanie, czy strumień
polskiego socjalizmu ma się roztopić w rosyj-
skim morzu, czy też płynąć odrębnym kory-
tem ku własnym celom i przeznaczeniom, ku
niepodległości wypisanej na sztandarze stron-
nictwa. Byłem wówczas młodym chłopcem.
Osobisty urok Piłsudskiego, czar jego pło-
miennego słowa i siła argumentacji, miłość

sudskiego ofiarow przew imczącemu zraz
du skromny upominek, na którym wyrz
czerowiersz, ułożony przez Daniłowskiego, o
treści, jeśli mnie pamięć nie myli, następują-
cej:

Tak płynie niewstrzymana w swoim biegu
rzeka,

Na miejscu pozostaje jeno ból człowieka.

Minęło lat trzydzieści i chwila wielkiego
ból nadeszła.

Na polu Mokotowskim wojsko oddawało
ostatnie honory, defilując przy głuchych
dźwiękach żałobnego werbla bębnow, przed
samotną trumną, okrytą narodowym sztanda-
rem. Armja polska, pospołu z całą ludnością
stolicy żegnała na zawsze Piłsudskiego. Na
pogodnym błękitie nieba pojawiły się zniena-
oka ciężkie, groźne chmury i rzuciły złowro-
gi cień na mury Warszawy, na zniemuchomia-
łe i milczące tłumy. Gdyśmy zdejmowali z
ławety trumnę pierwszego Marszałka Polski
odrodzonej, jeden jedyny piorun rozdarł z
hukiem powietrze. Troska straszliwa ogarnę-
ła dusze ludzkie, gwałtowny wichur zaszu-
miał i groźnie załopotyła pochylone sztandary.
Była to jakby ostatnia przestroga, udzie-
lona narodowi przez odchodzącego na zaw-
sze opiekuna i wodza.

Kilka zaledwie lat minęło od owej bolesnej
chwili, a nawałnica, niebywała w dziejach
ludzkich, nadciągnęła nad głowy nasze i sza-
leje nad nimi dotychczas. Czas już może o-
statni, by zrozumieć sens i znaczenie po-
śmiertnej przestrogi Piłsudskiego i rozmiar
odpowiedzialności, jaki dzisiaj obarcza ka-
żdego z Polaków.

W dziejach niewielu jest ludzi, którzy
wielkości zasług, położonych dla Ojczyzny,
zdobyli sobie prawo do tego, by można było
ich osobę utożsamiać z narodową racją
stanu. Jednym z nich był Piłsudski i dlatego
jego imię stało się dla nas, piłsudczyków, ha-
słem i programem, dlatego nazywamy go
Wodzem Narodu.

Był wodzem narodu i wodzem narodu w
pamięci ludzkiej pozostanie.
**(PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE W DNIU
20 MARCA 1943 W LONDYNIE)**

Poświęcając niniejszy numer tygodniowego
dodatku „Nowego Świata” p. t. „Ogniwo” pa-
mięci Józefa Piłsudskiego, Komendanta Le-
gjonów, Naczelnego Wodza i Naczelnika Pań-
stwa odrodzonej Polski z okazji dwudziesto-
lecia jego zgonu — uważamy za swój obowią-
zek podziękować Instytutowi J. Piłsudskiego
w New Yorku i jego Oddziałowi w Londynie
za udzielenie nam materiałów i dokumentów
dla niniejszego dodatku.

Równocześnie dziękujemy p. Janowi Lago-
dzie z New Yorku za bezinteresowną pomoc
techniczną w przygotowaniu tych materiałów
do druku.

REDAKCJA „NOWEGO ŚWIATA”

45

A. MICKIEWICZ

PAN TADEUSZ

CZYLI OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE

(Ciąg dalszy)

Cyprysy jaskyn, ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się
żmija,

A ich woń gasienice i owad zabija.
Dalej maków białe górują badyle;
Trzępiąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmałością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę
mami.

W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy
gwiazdami,
Kragły słonecznik licem wielkiem, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na
ogórki.

Pięknie wyrosły, liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy, jakby koblercem fałdzistym.
Pośrodku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
W majowej zieloności tonąc po kolana;
Z grząd zniżając się w brzozy, zdała się nie
stapać,
Wywał po lłaciach, w ich barwie się
kapać.

Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe

I kilka puklów światłych, rozwitych warkoczy;
Na rękę miała koszyk, wdół spuściła oczy,
Prawą ręką podniosła niby do chwytania;
Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania,
Bawiąc się z jej nóżką, tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia, zachwycony tak cudnym
widokiem,
Stał cicho. Słyszając tętent towarzysów wdali,
Ręką dał znak, ażeby wstrzymać konie;
stał.

On patrzył z wyciągniętą szyją, jak
dziobaty
Zóraw, zdała od stada gdy odprawia czaty,
Stojąc na jednej nodze, z czujnymi oczyma,
I, by nie zasnąć, kamień w drugiej nodze
trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i
skroni;

Był to Bernardyn, kwestarz Robak, a miał
w dłoni

Podniesione do góry węzłowate sznurki:

„Ogórków chceś Waś, krzyknął, co masz
ogórki!

Wara, Panie, od szkody, na tutejszej
grzędzie

Nie dla Waszej owoc, nie z tego nie
będzie

Potem panem pogroził, kapturę poprawił,

Który ma czarność węgla, przejrzystość
bursztynu,
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czem dla kawy jest dobra
śmietana;
Na wsi nietrudno o nią; bo kawiarka z rana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza
mleczarnie,

I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze, już wcześniej wstawszy, pily
kawę,

Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmielną bielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany piwa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem
domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
Wkońcu wniesiono zrazy na ostatnie danie.
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się
grona:
Starszyzna, przy stoliku małym
zgrupowana,

Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
O nowych, coraz sroższych ukazach
cesarskich;

Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
Oceniał i wyciągał polityczne wnioski.
Panna Wojska, włożywszy okulary sine,
Zabawiała kabałą z kart Podkomorzynę.
W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz
o łowach,

W spokojniejszych i cichszych, niż zwykle,
rozmowach,

Bo Asesor i Rejent, oba mówcy wielcy,
Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni;
Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni
Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośród
równiny

Znalazł się zagon chłopskiej, niezjętej
jarzyny;

Tam wpadł zając: już Kusy, już go Sokół
imał,

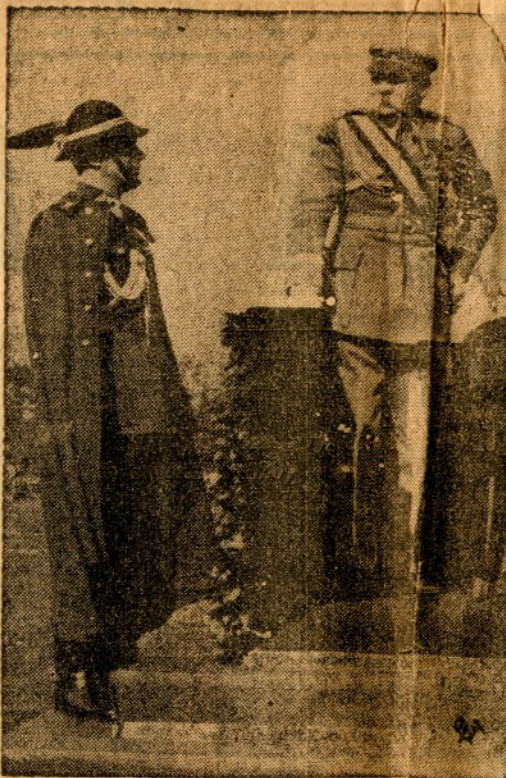
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy
zatrzymał.

Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim
gniewie;

Psy powróciły same, i nikt pewnie nie wie,
Czy zwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć
nie zdoła,

Czyli obudwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał
nierozstrzygnięty.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
Po dwóch stronach oc...



Defilada kawalerji w 1833
w Krakowie

Polacy Współtwórcami Telewizji

Myśl o przesyłaniu obrazów na odległość
stała się realna z chwilą, gdy odkryto sposób
pozwalający zamieniać sygnały świetlne na
sygnały elektryczne.

Stało się to w r. 1875, kiedy idąc wia-
sności fizyczne selenu — pierwiątka, odkry-
tego w r. 1817 przez francuskiego chemika
Berzeliusa stwierdzono, że pod wpływem
światła zmienia się jego przewodnictwo elek-
tryczne.

Im silniej selen jest oświetlony, tem le-
piej przewodzi prąd elektryczny. Na zjawis-
ku tem oparte było działanie pierwszych
komórek fotoelektrycznych.

W niedługim czasie po odkryciu Berzeliusa
w r. 1884 polski wynalazca Pan Nipkow
zapropozował pierwszemu urządzeniu telewizyj-
ne. W aparacie Nipkowskim rozkład obrazu na
elementy odbywał się w drodze mechanicznej
przy pomocy t. zw. tarczy Nipkowskiej.

Tarcza zaopatrzona była wereg drob-
nych otworków, ułożonych wzdłuż linii spi-
ralnej. Obiektyw aparatu rzucał światło na tar-
czę. Gdy tarcza Nipkowska obraca się, wów-
czas otwórki jej zakreślały na powierzchni
obrazu kolejne linje. Jeden obrót tarczy od-
powiadał rozkładowi obrazu na elementy, a-
by więc otrzymać obraz ruchomy tarcza wi-
rowała z prędkością 25 obrotów w sekundę.

Z tyłu za tarczą Nipkowska znajdowała się
fotokomórka, do której docierało światło,
przepuszczone przez dany otwórki, a więc
światło odpowiadające danemu elementowi
obrazu. Aparat odbiorczy był kładnym od
wróceniem nadajnika w tym samym miejscu

J. I. KRASZEWSKI

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

STARA BAŚŃ

(Ciąg dalszy)

Dobek słuchać musiał cierpliwie, nic nie
mogąc odpowiedzieć. Stał prawie niemy, dopó-
ki rozmowa spokojniejsza się nie stała, a
panowie nie ostygli.

Starszy, złagodniejszy, zaczął go namawiać,
aby on i przyjaciele, których mógł przeciągnąć,
na stronę ich przeszli; Klodwik powtórzył to
po niemiecku, a Hengo tłumaczył, dodając od
siebie obietnice łask wielkich.

— Z was jednego — mówił wuj — choćby-
ście z nami szli, pociechy jako żywo mieć nie
będziemy; chybabyście nam drogę ukazy-
wali, a do tego mamy ludzi. Z dwojgą rąk,
choćby najdzielniejszych, pomoc mała. Jeżeli
ochotę macie, inaczej nam posłużyć powinni-
ście. Powracając nazad do domu, weźmijcie do-
wództwo, ściągnijcie z ludźmi na wyprawę prze-
ciw nam, stanicie na tyłach. Gdy do bitwy
przyjdzie rzucicie się na nich z jednej, my z
drugiej strony. Weźmiemy ich w kleszcze,
aby nic nie uszło. Innych, co przedniejszych,
namówcie, aby toż samo uczynili.

Dobek, choć w nim wrzask i kipiał, słu-
chał cierpliwie. Poczęli go obietnicami obsy-
pywać, przyrzeczono mu ziemi wiele, władzę,
namiestnictwo, skarby znaczne, a gdy Hengo
coś podszepnął, śmiejąc się, nawet mu pannę
niemiecką, pokuszoną, za żonę obiecano, z
posagiem, którego by na dziesięć wozów nie
zabrał.

Dobek tylko słuchał, kłaniał się, na Niemca
swego spoglądając z ukosa, i choć go gniew
dusił za gardło, zmógł się, aby przyjąć te ła-
ski, jak było potrzeba.

Posadzili go potem z uprzejmością wielką
na ławie, podle siebie i zaczęli go poić. Leszek,
pierścień z palca zdjawszy, dał mu go na znak
przymierza, drugi mieczem pięknym obdarzył,
a trzeci, chcąc też hojnym być, kubek mu
kruszcowy, przepiwszy nim do niego, poda-
rował.

Dopiero, gdy miód i wino przyniesiono, a
przy uczcie podochoćcili sobie, Dobek się na
lepszą myśl zdobył i, ciesząc się w duchu, że
Niemców w pole wyprowadził, począł rozpra-
wiać przedrwiwając, jakby głuptaszkiem był.
Leszek, czego nie rozumieli, innym tłuma-
czył.

Tak około dzbanków czas przeszedł do
wieczora niemal, a w umowie stanęło, iż Do-
bek miał powracać do domu, o dowództwo
się zgłosić koniecznie, które mu się też nale-
żało, i innych na stronę Leszków przeciągać.
Czekał tylko, rychłoli się wyrwie, aby się o-
bozowi cokolwiek przypatrzeć.

Tak obdarzonego i podochoconego Hengo
polem zaprowadził pod szałas, na horodysz-
czu zawczasu dla nich opróżniony, i tu go
na spoczynek złożywszy, sam jeszcze do swo-

bek zanadrą go dusił, tak mu pilno było pom-
ścić doznaną zniewagę. Do nocy od obozowi-
ska daleko, o znalezienie drogi już się Do-
bek nie obawiał, myślał tylko, co z Niemcem
zrobić.

Przebić go mieczem było nader łatwo, ale
rozbolełemu człowiekowi tej zemsty było za
mało.

Gdy nocą już stanęli na nocleg i konie pę-
tać przyszło, aby je puścić na paszę, Dobek
się zakręcił, powiadając, że postronki pogu-
bił, a kilka tylko pęczków zapaśnego łyka
znalazło się u siodła. Niemiec, człowiek za-
wsze przezorny, swój sznur mocny ofiarował,
ale Dobkowi wydał on się za cienkim.

We dwóch więc wzięli się z niego grubszy
skręcić, Hengo pomagał obojętnie. Ogień już
był wielki pod starą dębem rozpalony i pio-
nął jasno.

Bardzo zręcznie pętlę splótłszy, Dobek, mi-
cząc przystąpił do Niemca i, nim się spo-
strzegł, zarzucił mu ją pod pachy. Wziął to
sobie za żart Hengo, nie domyślając się je-
szcze niebezpieczeństwa, gdy drugi koniec
sznura przez gałąź przerzuciwszy, chwycił Do-
bek i szarpnąwszy nim, już krzyżącego Nie-
mca nad ogniem zawiesił, skrępowanego tak
silnie, iż się wywinąć nie mógł. Sznur potem
Dobek umocował, a sam nieco opodał spo-
kojnie położył się na trawie, ogień tylko
podkładając, aby Hengo upiekł się żywcem.

Stało się to tak szybko, iż Hengo, rażony
nagle, przytomność prawie stracił. Dobek
zbyt był zburzony, aby nawet mógł lajać;
iskrzyły mu się oczy, leżał, patrzył i nasyczał
się.

Jęczącym głosem Niemiec się śmierci wy-
praszał, lecz nie otrzymał słowa odpowiedzi;
Dobek tylko ogień podkładał coraz silniej-
szy, rzucając węć, co mógł ściągnąć gałęzi.
Dym i płomień, coraz się wyżej podnosząc,
już zdrając ogarniał. Jęczał coraz słabiej i
sznur poruszany okręcał się z nim wśród pio-
mieni.

Tymczasem, gdy jęki ustawać poczęły,
mściciel konie oba na powrót ścigał z pa-
szy, pokładł ładunek na nie, nałożył uzdy i
wyczekiwał tylko, rychłoli Hengo w męczar-
niach skona, aby się od trupa oddalić.

Miotając się jeszcze, Hengo coraz słabszym
odzywał się głosem.

Oczekiwanie znużyło znać Dobka, bo chwy-
ciwszy oszczep, rzucił nim w piersi i dobił
nieszczęśliwego.

Odszedł potem od ogniska, a wkrótce cia-
ło urwane z gałęzią padło w ogień, żar i
skry rozpryskując dokoła; objęły je płomie-
nie. Najmniej się już wątpliwości nie było, iż
Hengo odżyć nie może, skoczył więc Dobek
na koń, splunawszy na trupa i szybko się od-
dalił.

Smiejąc się i klnąc razem tej nagłej przeszkodzie;
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie Nie było jej; mignęła tylko śród okienka Jej różowa wstążeczka i biała sukienka.
Widać na grzędach, jaką przeleciała drogą, Bo liść zielony, w biegu potrącony nogą, Odnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił, Jak woda, którą ptaszek skrzydłami rozkroił.
A na miejscu, gdzie stała, tylko porzucony Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony, Pogubiwszy owoce, na liściach zawisał I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.
Po chwili wszędzie było samotnie i glucho. Hrabia oczy w dom utkwil i natężył ucho; Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomie Za nim stali. — Aż w cichym i samotnym domie Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoly, Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania, I krzątała się służba około śniadania.
Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki, Roznoszono potrawy, sztuce i butelki. Mężczyźni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach, Z talerzami, z szklankami chodząc po pokojach, Pili, lub wsparci na okien uszakach, Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach; Podkomorstwo i Sędzia przy stole, a w kątku Panny szeptały z sobą; nie było porządku, Jaki się przy obiadach i wieczernych chowa, Była to w staropolskim domu moda nowa; Przy śniadaniach pan Sędzia, choć nierad, pozwalał Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.
Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy: Tu roznoszono tace z całą służbą kawy, Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane, I z porcelany saskiej złote filiżanki; Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takiej kawy, jak w Polsce, niema w żadnym kraju; W Polsce w domu porządnym, z dawnego zwyczaju, Jest do robienia kawy osobna niewiasta, Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta, Lub w wicin bierze ziarnka w najlepszym gatunku, I zna wszystkie sposoby gotowania trunka,

Nie mieszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
I widać, że czem innem zajętą miał głowę; Nosił skórzaną plackę; czasem w miejscu stanie, Duma długo i — muchę zabije na ścianie.
Tadeusz z Telimena, pomiędzy izbami Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami; Niewielki oddzielał ich od słuchaczy przedział, Więc szeptali Tadeusz teraz się dowiedział, Ze ciocia Telimena jest bogata pani, Ze nie są koniecznie z sobą powiązani Zbyt bliskim pokrewieństwem, i nawet nie pewno,
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną, Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę; Ze potem ona, żyjąc w stolicy czas długi, Wyrządziła niezmiernie Sędziemu usługi; Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem
Lubił, może z próżności, nazywać się bratem, Czego mu Telimena przez przyjaźń nie wzbrania. Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania. Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli; A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.
Ale w izbie na prawo, kuszając Asesora, Rzekł Rejent mimojazdem: „Ja mówilem wczora, Ze polowanie nasze udać się nie może: Jeszcze zbyt wczesnie jeszcze na pniu stoi zboże, I mnóstwo sznurów chłopskiej, niezjętej jarzyny; Stąd i Hrabia nie przybył mimo zaprosiny. Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się, Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie; Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa, I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa Polować tak, jak u nas, bez żadnego względu Na artykuły ustaw, przepisy urzędu, Nie szanując niczyich kopców ani miedzy, Jeździć po cudzym gruncie bez dziedzica wiedzy; Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje, Zabijać nieraz lisa, właśnie gdy linieje, Albo cierpieć, iż kotną samicę zajęcą, Charty w runi uszczują, a raczej zamęcą, Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali, Ze cywilizacja większa u Moskali; Bo tam o polowaniu są ukazy cara, I dozór policyi i na winnych kara”.

(Ciąg dalszy nastąpi)

zależności od sygnałów elektrycznych przesyłanych ze stacji nadawczej lub słabiej.
Drugim wynalazcą, który przyczynił się do rozwoju telegrafii, był Jan Szczepanik. W jego opatentowanym w r. 1897 wirującym urządzeniu telegraficznym zostały przez układ wahająco działające aparaty bezbłędnie, w ówczesnym stanie techniki, wykonywane. Mimo, że obaj wynalazcy swoje aparaty bezbłędnie, w ówczesnym stanie techniki, wykonywane. Mimo, że obaj wynalazcy swoje aparaty bezbłędnie, w ówczesnym stanie techniki, wykonywane. Mimo, że obaj wynalazcy swoje aparaty bezbłędnie, w ówczesnym stanie techniki, wykonywane.
Z czasem oba brakujące elementy wynalazone: z jednej strony wiska fotoelektrycznego, umożliwiającej odpowiednich fotokomórek (cezowych), z drugiej sposób zamiany szybko następujących różnorodnych impulsów elektrycznych w światło przy pomocy ki Kerr'a.
Praktycznych realizacji dokonał jednak tylko nadawca części aparatu. Stało się to dlatego, że już w latach bieżącego stulecia wynalazca kinoskopową, przyrząd nieposkonalszy od aparatury odbiorczej. Natomiast ikonoskop został wynalazony dopiero w r. 1900.
Pierwsza stacja telewizyjna, regularne programy uruchomiona w Berlinie w latach 30-tych, opierała się na metodzie rozkładu obrazu. Był to właściwy aparat nadawczy Nipkowskiego, natomiast aparaty odbiorcze wyposażone w lampę kinoskopową, tak jak aparaty obecne.
Wynalazek Nipkowskiego, mimo że dzisiaj swoje znaczenie praktyczne, odegrał ważną rolę w rozwoju telewizji.
Jako iluzjonista, tęskniąc do normalnego przejawu życia narodowego, jakim jest Państwo Polskie, szukałem czynników, które niesie ze sobą rasa polska, w których się czuje dobrze, które potęgują siły i narodu. Bo cudza dusza — to rzecz niebezpieczna.
(Wywiad prasowy J. Piłsudskiego 3 stycznia 1923)

Można polegać na ludzkiej woli. Robotnicy walczyli, a szlachaniec był żołnierzem niepodległości i wolności.

(Wywiad prasowy J. Piłsudskiego 2 stycznia 1920)

Miał Dobek czas i zwrócić się do przemyśleń, czego był ciekawym, gdyż zewsząd go obozujący otaczali. Z miejsca, na którym stał szalas, wojsko dokola rozłożone widać było, jazdę której znaczna część miała odzież z żelaznych lusek i blach, i piechotę z tarczami, uzbrojoną w dzidy, oszczepy, miecze i obuchy. Nade wszystko tu podziwiał porządek wojenny, którego u Polan nie znano. Wszystek ten lud, jakby niewolników, starczyzna ostro trzymała, a za najmniejszą winę jednych pretami smagano, drugich obarczono ciężarami. Byli i tacy, co w dybach za przestępstwa chodzić musieli. Obchodziła się z nimi starszyzna, jak z jeńcami, a gdy który z sotników huknął, drżało przed nim, co żyło. Zmiarkował Dobek, że choć taki wojak nie był pewny czasu porażki, wojnę nim prowadzić łatwiej było, gdyż do czasu ze strachu był posłuszny.
Z miejsca, na którym szalas stał, liczbę wojska nie łatwo rozpoznać było, ale nie zdała mu się zbyt znaczną; zbroją tylko i o-rężem Polan przechodziła.
Gdy Dobek dobrze się już był przyjrzał ludziom i porządkowi, późno w noc nadciągnął doń Hengo i przy nim się na straży położył, dopytując się ciekawie, jak mu się tu podobało. Dobek, choćby miał być ochotą w miejscu go ubić, chwalił młodych panów, iż gładcy byli, piękni, ochoczy i weseli. Z przyjęcia się niby wiele radował, Hengo obiecywał swą nagrodę.
Podarki, które dla niepoznaki przyjąć musiał, jak ogniem go piekli.
W obozie kneziów młodych wiedzano już, iż Piastun z całą siłą dążył ku granicy, aby naprzeciw nim stanąć i zaprzecić im drogę; zaraz też nazajutrz i oni wysłać mieli gońców po ludzi zaciężnych i wyprzedzić go chcieli napaścią niespodzianą.
Nazajutrz rano bardzo, z nikim się już nie widząc i nie żegnając nikogo, Hengo i Dobek ruszyli przez obóz... nazad ku lasom, przy czym Dobek tak pokierował, aby się jeszcze piechocie i jeździe przypatrzyć. Hengo miał mu wszędzie towarzyszyć.
Wziął z sobą różnych darów dosyć, aby nimi do pozyskania więcej ludzi Dobkowi dopomagać. Zarania tego dnia gromady niektóre już się w obozie ruszały, a te miały iść, drudzy z posiłkami wnet ciągnąć za nimi, chciano bowiem koniecznie wprzód wkroczyć od pomorskiej granicy, nim by się do niej Polanie zbliżyli.
Ruch był wielki, ochota dzika i odgrazania się straszne. Dobek, przerywając się przez kupy tego motłochu, musiał się tego nasłuchać za wiele i, ledwie mogąc powstrzymać od okazania gniewu, konia tylko parł, by co rychlej znaleźć się na swobodzie.
Minawszy obóz i pola, wjechali nareszcie w lasy. Hengo skorym był wielce do rozmowy, Dobek milczał posępnie. Pierścień na palcu go piekł, miecz u boku zawadzał, ku-

Lżej mu się potem zrobiło, a że noc dosyć jasna dozwalała ciągnąć dalej, ledwie cokolwiek koniom na polance spocząc dawszy, ruszył, śpiesząc nie do domu, ale na powrót ku jezioru Lednicy, gdzie się spodziewał znaleźć w pochodzie już wojewodów i ziemie.
Kto by go był ujrzał naówczas, pędzącego niecierpliwie ku swoim z wieściami, jakie zdobył na wyprawie, myślałby, że go jędze i wity lasami gnały, tak pilno mu było co najprędzej dostać się do Piastuna i swojej gromady.
Ze wszystkich polańskich mirów co do oszczepu i procy zdolnym było, Piastun naprzód zebrał u Gopla. Tu mogli ten lud tyśiącznikom, setnikom, dziesiętnikom rozkazawszy podzielić, nad oddziałami stawiać dowódców, wojewodów, którzy jemu tylko winni byli posłuszeństwo, Piastun zebrał wojsko daleko liczniejsze, niż obrona wymagała. A choć wojakiem nie był, ale prostym bartnikiem, z rojami tymi tak sobie umiał porządnie rozbiegających się po lasach i polach, złożył wojsko, które i Niemcom mogło być groźnym.
Uzbrojenie też, choć proste, lepszym teraz było, bo wojewodowie i ich tyśiącznicy sami każdego opatrywali, aby z gołymi nie szedł rękami. Ci, którym koni nie stawało, szli pieszo, uzbrojeni w cięższe oszczepy, pociski i tarcze.
Ponieważ innej zbroi na ciele nie mieli, tarcze te służyły w zastępstwie. Sporządzono ich mnogość wielką z kory lipowej i drzewa, i długo potem jeszcze takich używano.
Jesiennego dnia, wystąpiwszy na pagórek, gdy wszystek lud już z wojewodami stał w polu, a każdy mir i ziemie ze swymi bogi i stanicami, na wysokich dzidach wetkniętymi, rozeznac było można i policzyć, uradował się Piastun w duszy; gromady w ładzie stały i wesołymi głosy mu odpowiadały.
Rozkazanie tedy szło po wszech ziemiach, aby Międzyrzeczanie, Kujawiacy, Poznańscy, Bachórcy z innymi ciągnęli w porządku pod swymi wojewodami, posuwając się trzema drogami ku granicy. Jedne o drugich siebie wiedzieć miały, nie przeszkadzając sobie w ciągnięciu i na pastwiskach, a nie pustosząc własnego kraju. Iść mieli w cichości, nie rozbiegając się, tak aby nieprzyjaciel zawczasu się o nich nie dowiedział nie uszedł, nie osaczył, zasadzki, którego mimo lat młodości Piastun z synaczką, którego mimo lat młodości, do wojny zaprawiał, szedł w pośrodku, aby własnymi na wszystko patrzeć oczyma.
Ujrano też rzecz osobliwą, iż wojewodami mianował ludzi, którzy się tego nie spodziewali, a tych, co nimi chcieli być, pominął. O Dobku jeden on wiedział, gdzie się znajdował; drudzy różnie przebakawali, dano więc zastępstwo drugiemu.
(Ciąg dalszy nastąpi)

47

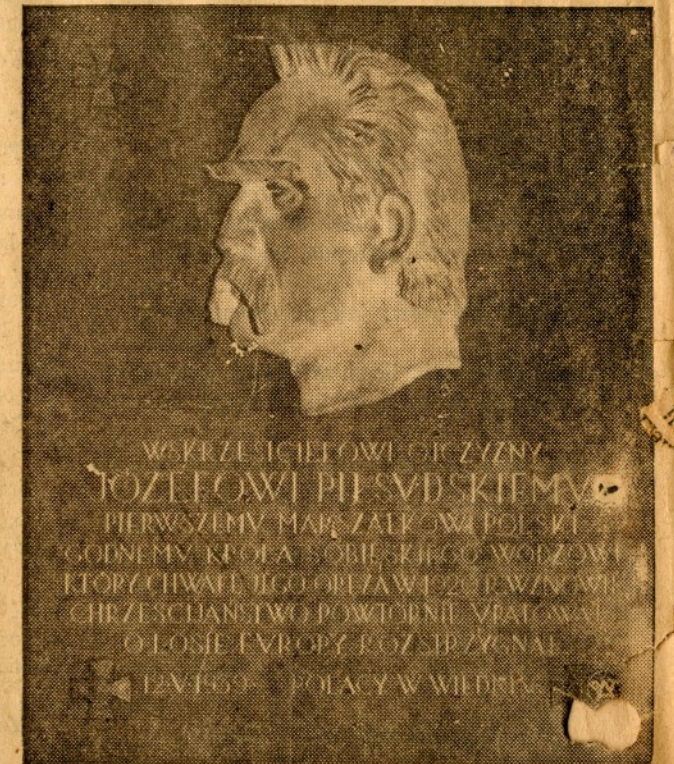
DWADZIEŚCIA LAT TEMU...



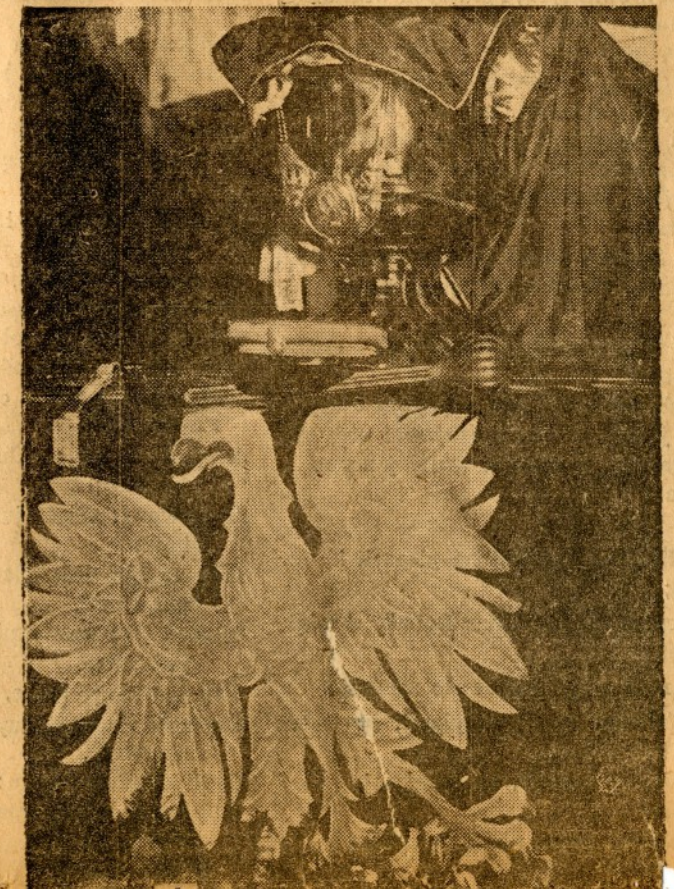
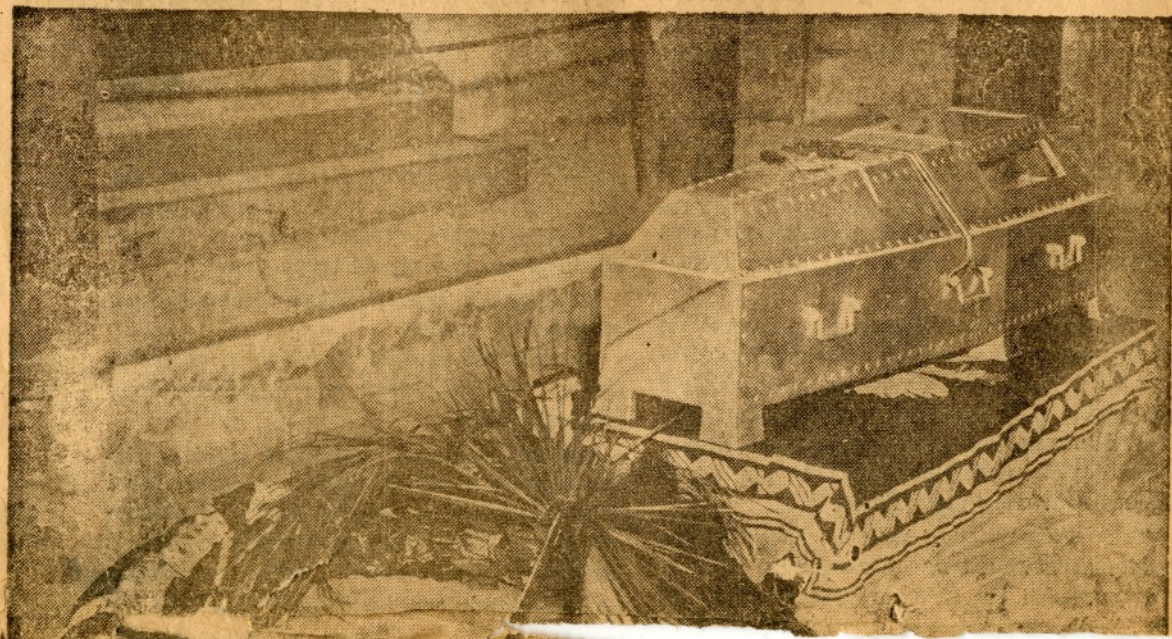
Kondukt pogrzebowy zdąża z katedry św. Jana na pole Mokotowskie w Warszawie



Rzeźba



Tablica pamiątkowa w Wiedniu

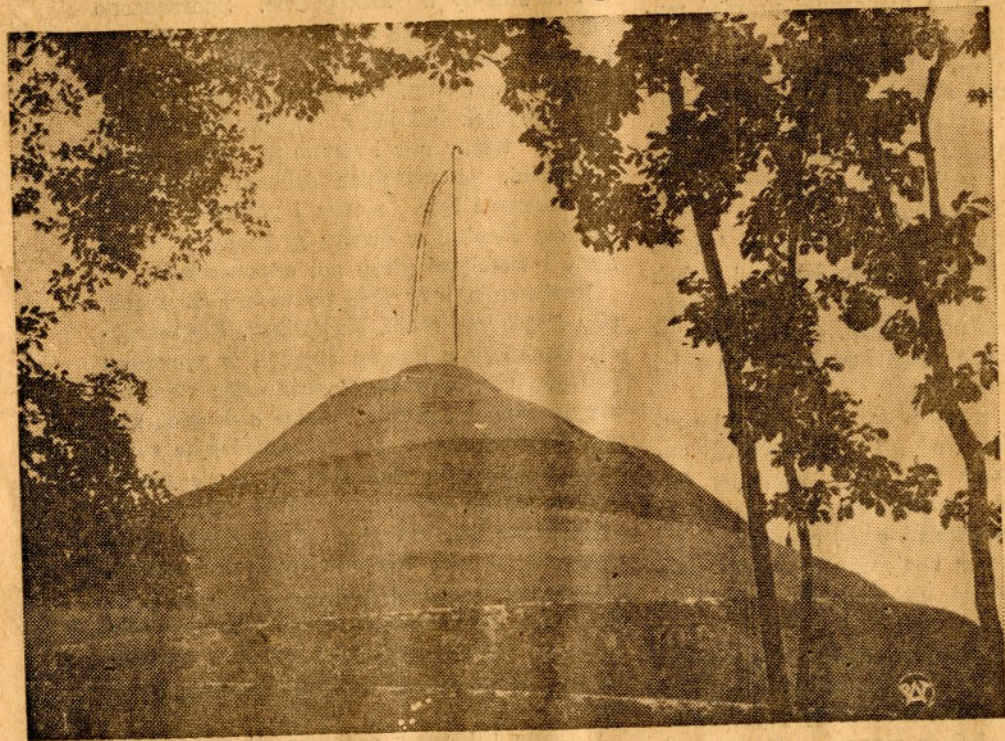




Trumna w krypcie św. Leonarda na Wawelu



Projekt pomnika dłuta
X. Dunikowskiego



Kopiec Piłsudskiego w Krakowie na Sowińcu



Tablica ku czci Matki Józefa Piłsudskiego
w Zgierzu



Urna z sercem Marszałka

Płyta marmurowa na Roszie, gdzie spoczywa serce
Marszałka



Wieża kaplicy
wawelskiej, gdzie spoczywa Józef Piłsudski



Tysięczne rzesze przed Belwederem na wieść o zgonie Marszałka

Północna Nowej Gwinei znane
do Hiszpanom, Portugalczykom i Holendrom
już dobre 300 lat temu, a Louis de Torres
opłynął południowe brzegi w roku 1606, umie-
szczając je na mapie świata. A potem przez
długie lata krążyły fantastyczne wieści o ta-
jemniczej wyspie, ale nikt się nie interesował
poważnie i nawet w pewnym okresie zapom-
niano o mapie Torresa.

Wygląd Nowej Gwinei z morza przedstawia
się istotnie niezwykle: łańcuchy zębatach gór,
wyszczerzające ku niebu ponad 13,000 stóp
i rysujące się mocno niebieskim kolorem, a
dołem przepaście i czarno-zielone lasy dymiące
gorącym, tropikalnym oparem. Dla żeglarzy
dziwnie niegościnnie, tajemniczo i wprost
z dawnych czasów ziemia ta przedstawiała się
strasznie.

Badaniem południowej linii wybrzeży zajął
się kapitan Blackwood dopiero w roku 1842,
a po nim porucznik Yule w 4 lata później.
Pierwsza misja chrześcijańska została zało-
żona w roku 1872, w okolicach dzisiejszej
stolicy Papuy, Portu Moresby.

Gdy duchowni rozpoczynali pracę cywili-
zacyjną, druga grupa ludzi obracała szlachet-
ne dzieło w niwecz; byli to właściciele lub ka-
pitanowie małych żaglowców, pływających na
tych wodach. Jakkolwiek parlament angielski
zniósł oficjalnie niewolnictwo w roku 1833,
to pewne jego formy trwały w imperjum bry-
tyjskim do roku mniej więcej 1920. W okre-
sie tym wielkie było zapotrzebowanie na ro-
botników w australijskim Queenslandzie na
plantacje trzciny cukrowej. Kapitanowie stat-
ków „rekrutowali” więc kolorowych miesz-
kańców wysp okolicznych do prac, za co o-
trzymywali sowią opłatę. Ze „rekrutacja” ta
odbywała się często pod przymusem, to inna
sprawa.

Jako przykład tego rodzaju procedury mo-
że służyć tragiczna historia biskupa Pattesona.
Duchowny ten zdobył sobie wielką popu-
larność i miłość wśród mieszkańców wysp
w cieśninie Torresa. Podróżował po wyspach
na białym szkunerze, a na jego spotkanie wy-
pływały setki czółen, pełne darów i witające
radośnie statek biskupa.

Ale znaleźli się ludzie, którzy zapragnęli
wykorzystać dla swych celów popularność
Pattesona. Przerobili i pomalowali swój sta-
tek, tak że przypominał do złudzenia szkuner
biskupa. Potem przyjeżdżali pod wyspy, a gdy
uradowani krajowcy wdrapywali się na pok-
ład, zaganiali wszystkich do luków, a resztę
odpędzali wystrzałami z karabinów. Akcja
ta udawała się im w każdej miejscowości. Na
jedną z wysp przyplął biskup na swym bia-
łym statku, nic nie wiedząc o zaszłych wy-
padkach. Rozwścieczeni wyspiarze, którym po
przedniego dnia uprowadzono kilkudziesięciu
krewnych, wpadli na statek i zabili Pattesona.
Dopiero po chwili zrozumieli swoją pomyłkę.
Złożyli ukochanego biskupa w najpiękniejsze
nowe czółno, wysłane matami i spuścili je na
wodę, złożony uprzednio liść palmowy w

ro w roku 1874.
W trzy lata później rozeszła się wieść po
Australji, że odkryto złoto w okolicy Portu
Moresby. Nie wywołało to wielkiej „gorączki”,
a sporo poszukiwaczy umarło tam na ma-
larję i inne choroby, a złota znaleziono tyle,
co w naporstku.

Tymczasem debatowano niemal już 10 lat
nad sprawą, czy zająć wschodnią Gwineę. W
roku 1883 niemieckie apetyty kolonialne za-
częły dawać się we znaki. Krające wokół Au-
stralji niemieckie korwety nie dawały spokoju
gubernatorowi Queenslandu, aż w końcu nie
wytrzymał nerwowo i wysłał okręt wojenny
do Portu Moresby, gdzie 4 kwietnia zatknęto
sztandar brytyjski.

Z Londynu nadeszła nagana, psano, że
„obawy by inne mocarstwo mogło usadzić się
w Nowej Gwinei, są błędne”. Nie chciano w
Anglii brać nowych wielkich terytorjów, któ-
re miały opinię wybitnie deficytowych — o-
bawiano się kosztów administracji i ewentual-
nej obrony. Wreszcie jednak zdecydowano się,
ze względów strategicznych, ogłosić oficjalnie
tymczasowy protektorat W. Brytanji dnia 6
listopada 1884 wyprzedzając zaledwie o 10
dni Niemców, którzy zajęli północną Nową
Gwineę. Dopiero wtedy otworzyły się oczy
Anglików i Australijczyków na niebezpieczeń-
stwo.

Mieszkańcy wysp składali się w owym cza-
sie z najdzikszej rasy ludzkiej, a wszystkie
szczyty uprawiały ludożerstwo. Kupcy i że-
glarze którzy zwiedzali wybrzeża, postępowali
okrutnie i nieuczciwie z krajowcami, tak że
stało się to powodem notorycznego mordowa-
nia białych ludzi. Jedynym sposobem kara-
nia przez administrację angielską było wysy-
łanie okrętów, które bombardowały i paliły
wsie nadbrzeżne. W roku 1891 została zorganiz-
owana Tubylcza Zbrojna Policja, która za-
częła dawać możliwości przynajmniej części-
wej kontroli nad terenem. Mimo tego wiele
było jeszcze miejsc gdzie biali ludzie nie do-
tarli.

W 1901 roku zdarzył się tragiczny wypa-
dek: szkuner misjonarzy zawitał na jedną z
wysp przyległych, gdzie ludność znała bia-
łych tylko z opowiadań. Łodzie z krajowcami
otoczyły statek i zmuszono 2 białych mi-
sjonarzy i 10 nawróconych nauczycieli i uczy-
niów do udania się na ląd. Zaprowadzono ich
do olbrzymiej szopy, gdzie zostali zabici i u-
gotowani razem z sago na ucztę dla całej wsi.

Gubernator stanął sam na czele ekspedycji
karnej, składającej się z 54 uzbrojonych poli-
cejantów i marynarzy. Kilkudziesięciu ludożer-
ców zostało zabitych, a wszystkie szopy i cha-
ty spalone wraz z czółnami.

Szony Papuasów t. zw. „dubu” sięgają na-
nad 600 stóp długości, a wysokości 70 stóp.
Prócz miejsc na rzeź ofiar przechowywano
tam stosy czaszek (każdy wojownik miał
swoją przedział na broń i hupy). Poprzednio
wspomniane metody zbiorowego karania moż-
na różnie oceniać, w każdym razie krajowcy

więc...

Wehring słuchał z uwagą tych wywodów.
Zgadzał się z niemi, nie miał żadnych za-
strzeżeń. Był jednak trzeźwym i praktycznym
oficerem marynarki, a więc wiedział, że do
walki z flotą brytyjską trzeba posiadać włas-
ną, niemiecką. A te przecież Niemcy nie po-
siadają. Wehring dyktownie przedstawia swo-
je wątpliwości. Canaris śmieje się. Ma ochotę
coś powiedzieć o wąskich horyzontach bojowych
oficerów, rezygnuje jednak z tego, by nie zrazić
rozmówcy.

„Widzi pan, panie kapitanie. Ja rozumiem
kategoriami dalekiej przyszłości. Może plany
moje będą mogły być zrealizowane dopiero za
5, 10, a może 15 lat. Niepewno jednak dojdzie
do tego w okresie naszego życia. Właśnie dla-
tego, że jesteśmy słabiej umięci patrząc
w przyszłość. Wiem, nie dobrze, jak pan,
że nie mamy narazie odków na budowę no-
wej floty. Kontrola państwa zwyczajnych
jest rygorystyczna, a na rząd nie zdobędzie
się na złamanie postanowień Traktatu Wers-
alskiego. Przyjmuję jednak, że w Niemczech
nastąpią poważne zmiany, że potrafimy zrzu-
cić z czasem jarzmo traktatu wersalskiego.
Mimo to jednak będzie słabsi od naszych
wrogów, musimy więc wyrównać ten minus
przemysłowością”.

Wehring nie ukrywał swego entuzjazmu.
Jakże był szczęśliwy, spotkał się z Cana-
risem! Posiadając tak ludzi Niemcy nie
zginą. Powiedział to Canarisowi i wycią-
gając dłoń ku niemu zył mu powodzenia,
zapewniając, iż znajdzie go zawsze pomoc.
Canaris zatrzymał rękę patrząc mu prosto
w oczy powiedział: „Nie mam zamiaru o-
nią prosić”.

„Zum Befehl” (na rozkaz) — odpowiedział
Wehring.

Rozwiązanie KłóWKI No. 19

POZIOMO

1. Skarb, 5. bosak, 9. a, 11. piła, 12. amen,
13. start, 16. kanon, 17. oklet, 22. atom, 23.
rata, 24. Estonja, 25. 27. toki, 30. uszak,
32. taras, 33. emlet, 34. ansa, 37. Azja, 38.
ukrop, 40. Marta, 41. ka.

PIONOWO

2. Kolano, 3. Ra, 4. 5. bóbr, 6. on, 7.
armata, 8. epoka, 10. a, 13. Sn, 14. alko-
hol, 15. to, 17. atla, 18. omega, 20. krata,
21. etyka, 25. lumarzesza, 28. orszak,
29. Islam, 31. KO, 32. 34. mąka, 35. Eros,
38. tu, 39. Po.

nie odważali się podobnej zbrodni.

W roku 1905 admirał objeli całkowicie
Australijczycy, a na Brytyjska Nowa
Gwinea” została zamieniona „Australijskie
Terytorjum Papuy” w Nowej Gwinei
rozpoczął się nowy

nie swoje „szwajcarskie” pochodzenie i
wniósł podanie o obywatelstwo brytyjskie.
Najzaciejsi obywatele miasta poparli jego
podanie.

Następne jego marzenie — jak twierdził
zostało spełnione. Mocno osiadł w Kirkwall.
Dobroduszni sąsiedzi cieszyli się z jego suk-
cesów, radzi, iż tak bardzo pokochał morze,
że nawet ferje letnie spędza w nowej ojczy-
źnie, jakkolwiek posiada rodzinę w Szwaj-
carii. Nikt nie dziwił się morskim zaintere-
sowaniem i znajomościom syna lądowej
Szwajcarii. Gdyby ich o to zapytano powie-
dzieli by, że jest to jeszcze jeden dowód peł-
nego przeobrażenia się Szwajcara Ortela w
Szkota.

Po roku 1932 korespondencja Ortela z ro-
dziną wzrosła gwałtownie. Otrzymywał i wy-
syłał mnóstwo listów. Wszystkie do Szwaj-
carii. Przybywali również jego przyjaciele i
krewni. Odbывał z nimi wycieczki. Wszyscy
byli entuzjastami morza i tego, co z nim
jest związane. Niektórzy tak rozkojali się
w wyspach Orkeny, że postanowili tu zostać.
Ortel, przy pomocy swoich szkockich przyja-
ciół, ułatwiał im uzyskanie pracy, służył od-
powiedniami poleceniami i wskazówkami.

Jak to się stało, że brytyjskie władze bez-
pieczeństwa nie zadały sobie nigdy trudu
zbadania tożsamości Alberta Ortela? Jak to
się stało, że cudzoziemiec nie tylko osiadł
tuż obok bazy morskiej, ale uzyskał nawet
obywatelstwo i prowadził przez 12 lat dzia-
łalność szpiegowską, nie wzbudziwszy naj-
mniejszego podejrzenia? Przecież Wehring
przez cały ten okres czasu prowadził oży-
wioną korespondencję z Canarisem. Przesy-
łał dokładnie raporty o ruchach floty brytyj-
skiej, o nowych jednostkach, uzbrojeniu i t.
d. Oficjalna odpowiedź brzmi: niedopatrze-
nie. Trzeba ją przyjąć, jako, iż nigdy nie tra-
fiano na żadne związki między Wehringiem-
Ortelem, a władzami niemieckimi. Musimy
przyjąć, że Wehring był jednym z tych agen-
tów, którym szczęście dopisało.

Z wybuchem wojny, we wrześniu 1939
wzrosła rola Ortela. Canaris żądał codzien-
nych radiowych raportów. Życie w Kirkwall
nie wiele się zmieniło zwiększyła się tylko
ilość marynarzy. Prysnał jednak beztróski
nastrój. Młodzież ubywała do wojska. Wszę-
dzie mówiono tylko o wojnie, o zbrodnicy
Hitlerze. Wehring z radością słuchał wiado-
mości o sukcesach niemieckich w Polsce, ro-
zumiał, że zbliża się godzina obrachunku z
Wielką Brytanią, ale był przecież żołnierzem
i nie mógł z własnej woli opuścić swego po-
sterunku. Chciał swoją dwunastoletnią dzia-
łalność szpiegowską zakończyć chlubnie, ja-
kimś wielkim, nadzwyczajnym sukcesem.
Szczęście sprzyjało mu do końca.

Pewnego październikowego dnia Wehring
dowiedział się, że sieci i pola minowe w Sca-
pa Flow zostały usunięte wskutek spostrze-
żonych uszkodzeń. Dopiero za dwa dni roz-
ciągnięta została nowa sieć. Wybiła godzi-

restacje i t. p. Alfreda Wehring, który je-
szczał na dno w Scapa Flow ponad 800 mary-
narzy brytyjskich (396 z załogi „Royal
Oak” uratowało się) oczekiwał tylko adm.
Canaris. Nie wydano na jego cześć żadnego
huczego przyjęcia. Pozostał w gronie swo-
ich przyjaciół. Nie ujawniono ani jego naz-
wiska, ani też jego roli w „bohaterskim” wy-
czynie niemieckiej floty podwodnej. Uczyni-
li to Brytyjczycy. Ani przez chwilę nie mie-
li wątpliwości, że atak podwodny nie był
przypadkowy, że przeprowadzony został je-
dynie dzięki jakiemuś szpiegowi.

Mieszkańcy Kirkwall pogrążeni byli w smu-
tku i żałobie. Wśród ofiar byli ich przyjacie-
le i członkowie rodzin. Kiedy następnego
dnia ekspedjentka Alberta Ortela zastała
sklep zamknięty i gdy stwierdziła, że w mie-
szkaniu panuje absolutna cisza, udała się na
policję. Oddalono ją z kwitkiem, bo któż
tego dnia miał czas na zajmowanie się ja-
kimś zaginionym zegarmistrzem, gdyby nie
obecność urzędników z Londynu. Wyważono
drzwi mieszkania. Panował w nim wzoro-
wy porządek. Jeden z policjantów zauważył
nad kominkiem parę słuchawek radiowych.
Podał je drugiemu. Dziwne, pocóż te słu-
chawki, skoro obok stoi normalny aparat
radiowy z wmontowanym głośnikiem? Przy-
stąpiono do systematycznej rewizji. W szu-
fladzie biurka znaleziono kajety z rysunkami
okrętów i seriami cyfr w znakach Morse-
go. W szafce tuż przy kuchni stał apar-
at radiowy. Wyglądał jak stare pudło. U-
stawiono go na stole i bez trudu stwierdzo-
no, że jest to krótkofalowy aparat nadaw-
czy. Odprawiono ekspedjentkę, która ze zdu-
mieniem i oburzeniem przypatrywała się pa-
noszeniu się policji w mieszkaniu jej pracu-
dawcy. Zaproszono ją do urzędu policyjne-
go, a w międzyczasie do mieszkania Alberta
Ortela przybyło kilku panów z Londynu, z
dowództwa marynarki. Znaleziono mnóstwo
materiałów. Wehring nie zniszczył żadnego
dowodu swojej działalności, jakby chciał, by
Brytyjczycy wszystko wiedzieli. Jedynie dla
formalności rozesłano jego rysopis z polece-
niem aresztowania, gdyż nikt nie miał wąt-
pliwości, że Wehring umknął bezpiecznie do
Niemiec. Zaden z tych, którzy przeprowadzi-
li rewizję w mieszkaniu „szwajcarskiego” ze-
garmistrza w Kirkwall, ani też ich przełoże-
ni, nie mogli ukryć zawstydzenia. Mieli świa-
domość, że dzięki własnemu niedopatrznie-
niu i błędowi odpowiedzialni są za sukces niemie-
ckiego szpiega. Był to zresztą największy
sukces niemieckiego wywiadu w czasie osta-
tniej wojny.

(„Głos Polski”)

Są w życiu narodów i państw zmagania,
które nigdy nie ustają. Polskę, narówni z in-
nymi narodami oczekuje walka we wszech-
światowych zapasach o pierwszeństwo w dzie-
dzinie organizacji i kultury.

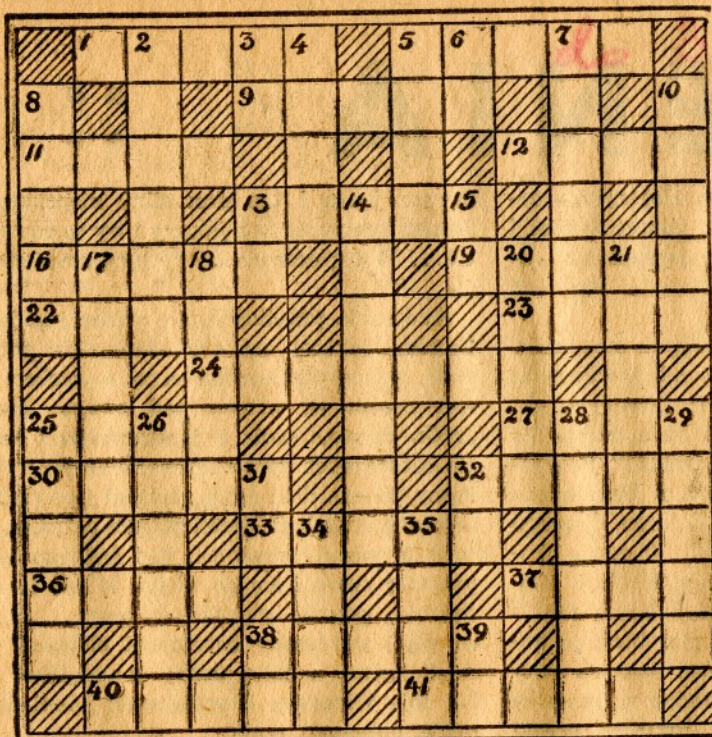
(Przemówienie J. Piłsudskiego
w Suwałkach, 13 września 1919)

MARJAN FRYDRYCHOWICZ

Zegarmistrz, Który Zatopił Brytyjski Pancernik

PAWEŁ DAMRATH

Krzyżówka Nr. 20



POZIOMO

1. Jednostka natężenia prądu elektr.
5. Ozdobna szata liturgiczna
9. Masy wód słonych otaczające lądy 1. poj.
11. Rodzaj uprawy roli
12. Napój codzienny
13. Łańcuch górski w obrębie Karpat zach., na pograniczu Polski i Czechosłowacji
16. Jeden z objawów przeziębienia
19. Duże drzwi przy stodole
22. Napój wyskokowy
23. Kraj górzysty na pograniczu Europy i Azji — Z. S. R. R.
24. Wóz motorowy, mający duże zastosowanie w rolnictwie
25. Welna owcza — inaczej
27. Ptak domowy
30. Moneta polska — wspak
32. Cienki i długi kawałek drzewa
33. Obracający się walec prądnicy
36. Płynię w naszych żyłach
37. Ciecz żółto - zielona, wypływająca czasami z ran, wspak
38. Duch służący Bogu — lub posłaniec niebieski L. - L
40. Przewyżka należności przy miesięcznym lub rocznym obrachunku
41. Rodzaj wąskiej łodzi.

PIONOWO

2. Wschodnia tkanina jedwabna, zazwyczaj przetykana złotem lub srebrem
3. Litera fonet.
4. Rodzaj opadu atmosferycznego
5. Język bydłocy
6. Nuta solf.
7. Miłośnik sztuki, lecz nie uprawiający ją zawodowo
8. Taniec
10. Lennik, czyli osoba otrzymująca ziemię na prawie lennym — inaczej
13. Dwie spółgłoski słowa „TRASA”
14. Rodzaj umowy lub układu
15. Zaimek osob. — wspak
17. Stuoiki strażnik (mitol. grecka)
18. Artysta dramatyczny — inaczej
20. Mała rura — inaczej
21. równa się 13 POZIOMO
25. Naturalna droga wodna
26. Rodzaj utworu literackiego
28. Kraj szczęśliwy, wymarzony przez filozofów i poetów
29. Harmonijne brzmienie kilku tonów
31. Skrót od wagi „gran”
32. Dwie spółgłoski słowa „PRACA”
34. Część domu
35. Przyimek
38. Skrót łaciński od „w Roku Pańskim”
39. Nuta solf. L- L

Kapitan Alfred Wehring zakończył służbę w marynarce cesarskiej jako najmłodszy oficer w tym stopniu na pancerniku „Admirał Hipper”. Śniła mu się wieka przyszłość, szli fy admirałskie, a może dowództwo floty niemieckiej, jednak wynik wojny położył temu kres. Niemcy leżały powalone, cesarz umknął do Holandji, a na gruzach dawnego imperjum zrodziła się republika. Zwycięzcy nałożyli ograniczenia zbrojeniowe.

Gdzie tutaj miejsce na młodego i ambitnego oficera?

Wehring znalazł się jednak na szczupłej liście oficerów marynarki, zatrzymanych w służbie republikańskiej. Zaważyły jego młodość i bojowe doświadczenie. Był materjalny miał więc zabezpieczony, znalazł się w lepszej pozycji od setek swoich starszych i młodszych kolegów, którzy musieli rozpocząć życie od początku. Nie zgłosił się więc do żadnej z nielegalnych organizacji wojskowych, które terroryzowały pop. i ze polskie, lub toczyły walkę z rządem republikańskim, czy z okupantami w Zagłębiu Ruhry. Miał swoje biurko w admiralce i znał planować. Nie mógł narzekać na nadmiar pracy, nudził się potwornie, zabijając czas w rozmowami z kolegami, dyskusjami o plany odbudowy — niemieckiej marynarki. Stwierdzali z zadowoleniem, że kielkuje jakiś ruch, który stawia sobie jako zadanie odbudowę potęgi niemieckiej. W Monachju działał niejaki Herr Adolf Hitler. Wojsko roztacza nad nim opiekę, nie wątpiąc, że gdzie on bardzo pożyteczny. Kpt. Alfred Wehring również postanowił zapoznać się z tym nowym ruchem „odrodzeniowym”. Rozmowy z przywódcami dodały mu otuchy. Istotnie jest tak źle — pomyślał. Jest jeszcze młody, więc nie powinien patrzeć czarno w przeszłość. Szlify admirałskie może nie są odległe jak wydawało się pod koniec 1918 roku.

Starszym kolegą kpt. Wehringa był kpt. marynarki Canaris. Nał go dobrze, był przecież dumą służby dywizyjnej marynarki. Canaris nie miał formalnie żadnego stanowiska, ale Wehring wdział, że to pozory. Wiedział również, że Canaris jest wpływowy i wszędobylski. Oczekwał, iż ten odsłoni mu tajniki przyszłości, że spodziewał się jednak, iż znajomość z nim nie przyniesie całkowicie bieg jego życia. A jednak tak się stało.

Canaris spokojnie tłumaczył Wehringowi, że wojna jest nieucylna. Niemcy nie pozostaną rozbrojone i uszają wziąć odwet za klęskę roku 1918. Jaa jest, że trzeba przede wszystkim zniszczyć Anglię. („Gott strafe England” — Boże karz Anglię), która odpowiedzialna jest za katastrofę Niemiec. Czyż ten obowiązek nie spływa w pierwszym rzędzie na marynarkę? — przecież flota „dumnego Albjonu” zadawała nam poważne ciosy. A czemu jest Anglia? — Niezmiernie! Chcąc

Obaj panowie usiedli w wygodnych fotelach i Canaris rozpoczął dłuższy wykład. Pogawędka była bardzo serdeczna. Przypieczętowała przyjaźń między tymi dwoma oficerami, tworząc formę nowej współpracy służbowej. Nie co tylko zmieniły się role służbowe: Canaris został szefem kpt. Wehringa.

Działo się to w roku 1923.

Wehring poprosił o zwolnienie ze służby woj skowej. Prośba jego została uwzględniona i wiadomość o tem ukazała się we wszystkich oficjalnych publikacjach. Kapitan marynarki przedzierzgnął się w przedstawiciela handlowego. Wehring wyspecjalizował się w zegarkach. Jako reprezentant niemieckiej fabryki zegarków, podróżował po Europie, zwracając szczególnie uwagę na te miasta — ściślej porty — w których budowano nowy sprzęt morski, okręty stocznie i t. p. „Handlowe” podróże. Wehringa wzbogacał zasób niemieckich wiadomości, pomagając stworzyć pierwsze komórki niemieckiego wywiadu morskiego. W 1926 roku Wehring udał się do Szwajcarii na przeszkolenie do jednej z fabryk zegarmistrzowskich. Canaris postanowił uczynić z niego pierwszorzędnego fachowca zegarmistrzowskiego i... przerobić go na Szwajcara.

W 1927 roku wylądował w Wielkiej Brytanji szwajcarski zegarmistrz Albert Ortel. Mówił płynnie i bezbłędnie po angielsku, posiadał doskonale świadectwa ze Szwajcarii, to ułatwiło mu pobyt w nowym kraju. Nie skierował się ani do Londynu, Liverpoolu, Manchesteru czy Edynburga, gdyż — jak tłumaczył — jest człowiekiem cichym, nie znoszącym hałasu wielkich miast. Brytyjczycy wysoko cenią takie nastawienie. Wehring, przeproszając Albert Ortel, osiadł w miasteczku Kirkwall na wyspach Orkney, w Szkocji. Miejscowość ta położona jest w pobliżu wielkiej bazy floty Scapa Flow.

Przybył ze Szwajcarii, dostał pracę w jednym z miejscowych sklepów zegarmistrzowskich. Kolejni pracodawcy byli z niego bardzo zadowoleni, gdyż był cichy, skromny, uprzejmy i pracowity. W godzinach wieczorowych naprawiał zegarki w mieszkaniu. Był świetnym zegarmistrzem i pobierał najniższe stawki. Nic więc dziwnego, że sława jego rosła wśród mieszkańców Kirkwall oraz licznych rzesz marynarzy, stanowiących główne źródło dochodowe miejscowych kupców. Ortel pracował i oszczędzał. Mówił znajomym, że pragnie utworzyć własny zakład zegarmistrzowski i nie spocznie, póki nie wcieli w życie swoich zamiarów. Istotnie udało mu się. I pewnego dnia Kirkwall wzbogacony został o jeszcze jeden sklep jubilersko-zegarmistrzowski. Całe miasteczko cieszyło się z sukcesu Ortela. Zapraszano go do domów, na wycieczki. Omal przestano go uważać za cudzoziemca. W 1932 r. nocziwy

na jego triumfu! Zamknął się w mieszkaniu i nadał szyfrową depeszę radiową do niemieckiego attache morskiego w Holandji. Ten przekazał ją natychmiast adm. Canarisowi, szefowi wywiadu niemieckiego, który z kolei przedstawił ją dowódcy floty. Wydano błyskawiczne rozkazy okrętom podwodnym na Morzu Północnym. Okręt podwodny B-06, dowodzony przez kpt. Guenthera Priena, ruszył pierwszy we wskazanym kierunku. Miał on rozkaz wynurzenia się obok wschodnich brzegów wyspy Pomona i wzięcia na swój pokład pewnego człowieka. Ma on nadać świetlny sygnał: jeden długi, dwa krótkie, jeden długi. Od niego dowódcę okrętu podwodnego otrzyma dalsze wskazówki.

Albert Ortel zamknął sklep o kilka godzin wcześniej. Wyjaśnił swojej sprzedawczyni, że czyni to ze względu na pogodę. Leje /ali ra rana i niema nadziei, by znalazł się jakiś klient. Sąsiedzi widzieli go, jak wkrótce po zamknięciu sklepu wyszedł z mieszkania, otulony w płaszcz deszczowy. Nie było w tem nic nadzwyczajnego, jako że Ortel często chodził na spacer w taką pogodę. Droga jego wiodła na Pomona. Pogoda była na prawdę psia. Gęsta mgła okrywała wszystko.

Czy przyplynie — zastanawiał się Wehring — stojąc na ostatnim skrawku lądu?

W pewnej chwili do uszu jego doszedł plusk wody. Wyteżył wzrok. Zobaczył powoli wylaniający się peryskop. Kpt. Prien dostrzegł samotnego człowieka. Czekał. Po chwili odebrał uzgodniony sygnał świetlny. Mała łódź gumowa z jednym marynarzem oderwała się od okrętu i popłynęła ku brzegowi. Zziębnięty i przemoczony osobnik wskoczył do niej. Wokół panowała absolutna cisza. Po kilku minutach kpt. Prien witał gościa, a okręt zanurzył się z powrotem. Wehring dał kpt. Prien dokładną mapę Scapa Flow ze szczegółowym umiejscowieniem poszczególnych jednostek. Znajdował się tam pancernik „Royal Oak”, ten sam, który rozgromił flotę niemiecką w bitwie Jutlandzkiej. Nadeszła długo oczekiwana chwila odwetu!

Okręt podwodny B-06 pewnie wślizguje się pod bazę brytyjską. Kpt. Prien ma pełne poczucie bezpieczeństwa. Nic mu nie grozi, a przecież jest w samym sercu nieprzyjaciela. Bierze dokładnie na peryskop pancernik „Royal Oak”. Rozkoszuje się jego sylwetką — za chwilę pośle pancernik wraz z całą załogą 1,200 osobową na dno. Pada krótki rozkaz: ogień. Dwie celne torpedy i okręt idzie szybko na dno. Kpt. Prien widzi jeszcze na peryskopie pożar na pokładzie „Royal Oak”, poczem daje rozkaz powrotu. Duma rozpiera mu pierś. Wie, że czeka go awans i odznaczenie.

W kilka dni później okręt podwodny B-6 przybył do Kilonji, gdzie załogę i jej dowódcę witano kwiatami, urządzono liczne mani

PAPUA, ZIEMIA LUDOŻERCÓW

Gdy spojrzmy na mapę Australji, znajdziemy przy północnych jej brzegach Nową Gwinę, jedną z największych wysp świata. Zachodnia część należy do Holandji — wschodnia jest obecnie pod protektorem Australji. Tę australijską posiadłość gdy przetniemy kreską poziomą na połowę, to otrzymamy na północnym brzegu terytoriję

rekę zabitego. Działo się to we wrześniu 1872 roku.

Gdy Holendrzy anektowali zachodnią część Nowej Gwinei w roku 1828, Anglicy bardzo długo namyślali się czy zająć tam jakie ziemie. Rozmowy na ten temat rozpoczęły się między rządami kolonii australijskich i holenderskich. W 1838 r. rząd holenderski